

To tylko „Tango” – Mrozek w reż. Ratajczaka w Teatrze Horzycy w Toruniu

4 marca 2018



zdj. Wojtek Szabelski

„Wszelki bunt, aby nie wyrodzić się w tyranię,

musi nieść w sobie miarę i granicę

– którą stanowi inny człowiek”

Albert Camus.

W toruńskim spektaklu Piotra Ratajczaka „Tango” na podstawie arcydramatu Sławomira Mrożka urzekła mnie reakcja miejscowej publiczności. Widownia – wyraźnie poruszona – reagowała żywo i spontanicznie, dopowiadając aktorom kwestie, czy komentując głośno sceniczne wydarzenia. Przyznam, że dawno takiej reakcji publiczności – zwłaszcza repertuarowej, codziennie chodzącej do teatru – nie widziałem. Znaczyć to może przynajmniej dwie ważne rzeczy: po pierwsze – że napisane w 1965 roku „Tango” nadal odbija w krzywym zwierciadle tym razem współczesną nam rzeczywistość; po drugie – że udało się Ratajczakowi stworzyć zrozumiałą, żywą i brawurowo zagraną sceniczną adaptację mrożkowego arcydzieła. Warto się zatem bliżej przyjrzeć zarówno samemu dramatowi, jak i inscenizacji Ratajczaka.

Na scenę „wchodzi młody człowiek, najwyżej dwudziestopięcioletni, prawidłowo rozwinięty, dorodny i regularny. W standardowym, dobrze i efektownie na nim leżącym ciemnym garniturze, w białej koszuli z krawatem. Czysty i wyprasowany. Niesie pod pachą kilka książek i skryptów, ponieważ wraca z wykładów na uniwersytecie”. To Artur, główny bohater Tanga Mrożka. Widzi swoją „inteligenczką” rodzinę przy stole, grającą w karty z prostytutką i chamem Edkiem. Nie mogąc dłużej znieść

kompletnego rozprężenia i marazmu, jaki panuje w jego domu, postanawia przeprowadzić rewolucję. Owo rozprężenie i marazm to nic innego jak symptomy wolności, którą wywalczyło niegdyś pokolenie Stomila i jego żony Eleonory, dziś pochłonięte sobą i groteskowymi, pseudoartystycznymi eksperymentami. W finale Artur, walczący o przywrócenie tradycyjnych wartości i porządku, ponosi klęskę, gdyż do głosu dochodzi zlekceważony przez niego element mrocznej, prymitywnej siły – Edek. Finałowe tango Edka z „wiecznym oportunistą” Eugeniuszem zapowiada epokę brutalności i zamordyzmu.

Jan Błoński pisał onegdaj o *Tangu* tak:

„(...) Tango opowiada o rodzinie! Oto ojciec, matka, trochę znudzeni i nielojalni, ale w gruncie przywiązani do swej przeszłości... i przyszłości. Oto babka i wuj, przedstawiciele praszczurów. Oto syn i jego narzeczona, dzięki którym powstanie nowa rodzina! Cokolwiek się powie, związki, które łączą tę zwariowaną rodzinę, istnieją bezspornie i zrozumiale (...).

W rodzinie Mrożka zobaczyć wolno artystyczne środowisko, społeczeństwo, Polskę, świat cały. Ale właśnie dlatego, że jest ona wpierw rodziną”

Aktualność dramatu Mrożka wynika w głównej mierze z uchwycenia pewnego mechanizmu historii. Posługując się matrycą rodziny, ukazuje on powtarzalność pewnego schematu procesów społecznych. Kiedy na drodze rewolucji zostaje obalony dowolny „ancien régime”, następuje epoka wolności i demokracji, a gdy ta zaczyna podlegać erozji, natychmiast pojawia się tęsknota za porządkiem i potrzeba rządów silnej ręki. Mechanizm jest już jednak tak rozpędzony, że wprowadzany początkowo oświecony absolutyzm przeradza się w okrutną tyranję. I tak w kółko.

Piotr Ratajczak tę prawidłowość zauważył i w sposób prosty, choć niezwykle inteligentny, dopasował do niej polską rzeczywistość po „rewolucji” 1989 roku. Pomogły mu w tym dokonane wraz z Marią Marcinkiewicz-Górną w dramacie Mrożka świetne skrótory. Dzięki nim tekst zabrzmiał, jakby Mroźek napisał go wczoraj. Scena Horzycy pokryta jest rusztowaniami i kawałkami malarskiej folii. Teatr, a wraz z nim Polska, są przecież obecnie „w remoncie”. Grę w karty Ratajczak zamienił w trening fitnessu – wszak naród, goniąc za wieczną młodością i lajkami wyciska z siebie na siłowniach siódme poty. Zabieg ten od razu zresztą znakomicie tłumaczy niezwykle zainteresowanie całej rodziny królującym na siłowni Edkiem (Tomasz Mycan). Stół, przy którym Artur (Arkadiusz Walesiak) zastaje rodzinę, jest oczywiście okrągły, a Stomil (Paweł Kowalski), najważniejszy z architektów obecnego porządku świata, przez lata żyjący w dobrobycie zamienił się na starość w rozchełstaną parodię solidarnościowego rewolucjonisty i artysty. Z poezji Herberta, tak ważnej i znaczącej dla jego pokolenia, robi pusty i absurdalny performance – świetny zabieg Ratajczaka, zamieniający mroźkowych Adama i Ewę w Pana Cogito. Wuj Eugeniusz (Michał Marek Ubysz) to stary koniunkturalny komuch, który w odpowiednim momencie „dozna objawienia” niczym św. Paweł i przechrzci się na wiarę nowej, opartej na tradycji i wartościach władzy, uosabianej przez ubranego w schludny garniturek i IPN-owskie okulary Artura. W szale rewolucji Eugeniusz będzie chciał zmusić Stomila do uległości, biegając za nim po scenie, a to z powiewającą polską flagą, a to w kontuszu, a to z krzyżem. Czy trzeba bardziej wymownych symboli działań elit „dobrej zmiany”? Sam Artur został potraktowany przez Ratajczaka bardzo poważnie. To człowiek, który wie, czego chce, ale też święcie wierzy w swoje działania. Nie mogąc odnaleźć się w świecie, w którym wszystko wolno i w którym każda idea stanowi swoją własną karykaturę, próbuje powrócić do tego, co wydaje mu się niesłusznie minione i co da mu jakiegokolwiek oparcie. Ponosi klęskę, gdyż nie zauważa, że cała idea powrotu do przeszłości jest równie pusta, jak inne. Jego słabość demaskuje kobieta w czarnym welonie, Ala, bez której „dobrej zmiany” nie da się dziś przeprowadzić. Tę słabość Artura od razu wykorzystuje Edek, tym bardziej, że chwilę wcześniej Artur ogłosił go swoim pomagierem i „zbrojnym ramieniem”, dając mu przy tym do ręki pistolet. Pierwszą ofiarą posiadającego swój własny, prymitywny, ale całkiem

racjonalny umysł dresiarza pada właśnie Artur. Rozpoczyna się tango. „*La cumparsita*” Mrożka zamienia się w „*Nieustanne tango*” Republiki. Najpierw Edek z Eugeniuszem, a potem reszta rodziny ruszają w tan. Spektakl się zamyka. Schemat się zamyka. Historia się zamyka. Jutro znowu się powtórzy – taka jest natura teatru i świata, w którym utknęliśmy w jakimś upiornym cyklu pseudorozwojowych przemian.

Spektakl Ratajczaka zrobiony jest bardzo formalnie. Początkowo wydaje się, że w całości będzie grany tylko w kierunku widowni. To ulubiona metoda reżysera. Nic podobnego. Po scenie „*gry w karty*” spektakl zmienia oblicze na bardziej tradycyjne, nie tracąc jednak nic ze swojej formalności. Potem znowu zmiana. Tekst płynie szybko, bez zbędnej psychologizacji, w efekcie czego przestaje się zauważać teatralną materię wykonania, gdyż treść przedstawienia zaczyna widza całkowicie pochłaniać. A to dzięki wymyślonej przez Ratajczaka grze. Przypomina ona zabawę z kotem. Reżyser niezwykle inteligentnie rozrzuca po dramacie Mrożka współczesne nici, a widz chwyta je i zaczyna za nimi podążać, coraz szybciej i szybciej. I nagle wszystko staje się jasne. Przez chwilę miga nam obrazek, który się z tych nici wyłania. Robi się trochę śmiesznie, a trochę strasznie. Aktorzy się kłaniają. Publiczność wiwatuje, na stojąco bijąc brawo. Na pewno jest komu. Ale czy nie głupio tak klaskać? Przecież Edek właśnie dostał pistolet...

Aktorzy są znakomici. Widać, że w tym spektaklu stanowią dobrze naoliwiony i perfekcyjnie funkcjonujący mechanizm. Świetnie się odnajdują zarówno w konwencji, jak i w otwieranych przez nią labiryntach – tych mrożkowsko-ratajczakowych, i tych rzeczywistych. Wiedzą, kim są, co mają grać i po co są na scenie. Potrafią też znakomicie zbalansować groteskę, zapisaną w tekście Mrożka, z powagą tego, co się dzieje na scenie. Mają też świadomość cienkiej granicy między wieloznacznością a łopatologią przekazu, co w tym przypadku – przełożenia dramatu na konkrety – jest umiejętnością kluczową. Dzięki temu na toruńskiej scenie granica taniej, doraźnej publicystyki nigdzie nie zostaje przekroczona, ba! nawet dotknięta. Stąd zapewne wspomniany już entuzjazm widzów, stąd wielka siła toruńskiego „*Tanga*”.

Piotr Ratajczak i jego aktorzy zrobili bardzo dobry spektakl. Wybitny autor, wielki tekst, inteligentna adaptacja, znakomite aktorstwo. Nagrodą jest żywiołowa reakcja poruszonej publiczności. W tej beczce miodu jest jednak łyżka dziegciu – rzeczywistości, której za pośrednictwem teatru mieliśmy okazję się przyglądać, nie da się tak łatwo opuścić. Nie można z niej po prostu wyjść, niczym z budynku Horzycy. Ona po nas przyjdzie, prędzej czy później. A wówczas zatańczymy tak, jak nam zagra, czyli... jak zwykle.

Tomasz Domagała

domagalasiekultury.pl